



KIH-α

Kurier Instytutu Historii

№ 6 (13), R. II

www.sknh.uni.lodz.pl

marzec 2006

Zacni czytelnicy!

Opromienieni sukcesem wrocławskiej wiktorii (o której w numerze następnym), składamy w Wasze ręce najświeższy – wiosenny owoc naszego twórczego zapachu.

W tym numerze przybliżamy sylwetkę Slobodana Miloševicia, poszukujemy insygniów koronnych, prowadzimy do garsoniery oraz na manifestacje alterglobalistów. Ujawniamy także kulisy zbrodni z zamierzonych dziejów. Nade wszystko ukazujemy kulisy i przebieg spotkania z naszym znakomitym gościem, księdzem Adamem Bonieckim.

A kiedy święta, tedy najlepsze życzenia...

Z wiosennymi pozdrowieniami,



Redakcja



Slobodan Milošević – krótka biografia

W dniu 11 marca 2006 r. zmarł Slobodan Milošević, przebywający w swej celi w Hadze, sądzony za zbrodnie dokonane w latach 90-tych XX w. Kim był człowiek, nazywany potocznie „Slobo”, który przez lata budził, i zapewne będzie budzić, ogromne emocje? Przez jednych uznawany za serbskiego bohatera, a przez innych nazywany „rzeźnikiem Bałkanów” i zbrodniarzem.

Jego rodzice pochodzili z Czarnogóry. Matka Slobodana była nauczycielką i przyłączyła się do partii komunistycznej pod koniec wojny. Ojciec, Svetozar, katecheta i nauczyciel rosyjskiego oraz serbsko-chorwackiego, po rozpoczęciu II wojny światowej przeniósł się wraz z żoną i starszym bratem Slobodana, Borislavem, do prowincjonalnego serbskiego miasteczka Požarevac (ok. 70 km od Belgradu). Tutaj właśnie przyszedł na świat 20 sierpnia 1941 r. przyszły przywódca Serbii i Jugosławii.

Kilka lat po zakończeniu wojny, Svetozar zostawił żonę z dwójką dzieci i powrócił do Czarnogóry, gdzie pracował dalej jako nauczyciel akademicki. Popęłił samobójstwo w 1962 r., gdy 21-letni Slobodan przebywał w ZSRR. Młodszy syn nigdy nawet nie przyjechał na grób ojca. W dziesięć lat później, gdy obydwaj synowie mieli już zapewnioną przyszłość, również i matka odebrała sobie życie w swoim domu w Požarevacu.

W szkole uchodził za samotnika, miał niewielu przyjaciół. Zapamiętano go jako ucznia, który siedział zawsze w pierwszej ławce, ubrany w białą koszulę i krawat. A jednak spotkał osobę, która miała stać się jego najlepszym pomocnikiem, doradcą i „połówką” życiową. W 1958 r. 17-letni Slobodan poznał młodszą o rok Mirjanę (Mirę) Marković. Nazywano ich w szkole „Romeo i Julią”.

Po ukończeniu szkoły średniej rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Belgradzkim, gdzie również zaangażował się politycznie, będąc wyróżniającą się osobą w partyjnej organizacji studenckiej. Zyskał wówczas przydomek „małego Lenina”. Wtedy także poznał kolejną ważną osobę: starszego od siebie Ivana Stambolicia, którego wujek był znanym politykiem. Dzięki tym kontaktom, przy boku Stambolicia, Slobo zaczął piąć się po kolejnych szczeblach kariery partyjnej i zawodowej. Ivan stał się na wiele lat najbliższym przyjacielem Slobodana i Miry. W 1965 r. Slobo poślubił Mirjanę, zaś świadkiem na ślubie był Ivan Stambolić.

Po ukończeniu w 1964 r. uniwersytetu, Milošević pracował jako doradca ekonomiczny i szef służb informacyjnych w urzędzie miejskim w Belgradzie. Następnie dzięki swoim kontaktom ze Stambolicem, zaczął pracować w Technogasio, jednej z największych jugosłowiańskich firm, by w 1973 r. zostać jej dyrektorem. W 1978 r. stanął na czele Beobanku, który był największym bankiem w kraju. Milošević dał się poznać jako świetny organizator i negocjator. Wiele razy wyjeżdżał zagranicę, m. in. do USA. Nauczył się wtedy angielskiego i francuskiego.

Pracując w sektorze finansowym pozostał oddanym działaczem komunistycznym. Za namową Stambolicia, wówczas przywódcy serbskich komunistów, w 1984 r. został liderem partii komunistycznej w Belgradzie. Gdy Stambolić został prezydentem Serbii, Milošević zastąpił go na stanowisku przywódcy partii w Serbii w 1986 r.

Wkrótce doszło do wydarzeń, które odegrały ważną rolę w przyszłej karierze Slobo. W 1987 r., podczas partyjnego zebrania na Kosowym Polu, niedaleko Prisztiny, policja pobiła zebranych tam Serbów. Milošević powiedział wtedy: *Nikomu nie wolno was bić*. Ta wypowiedź zapewniła mu popularność wśród Serbów, a on sam doszedł do wniosku, że nacjonalizm może mu pomóc zdobyć wpływy polityczne. Kolejnym krokiem było wyeliminowanie z polityki swego wieloletniego przyjaciela Stambolicia, który został odsunięty na tor boczny, a w 2000 r. zamordowany przez tajne służby.

Ważnym wydarzeniem w życiu Miloševića było także poprowadzenie 28 czerwca 1989 r. uroczystości 600-lecia bitwy na Kosowym Polu, będących świętem narodowym Serbów. Obwieścił wtedy np., że jeśli trzeba będzie *w imię serbskiej sprawy przemówi oręż*.

Rozpoczął obsadzanie ważnych stanowisk swoimi zwolennikami w czasie tzw. „rewolucji antybiurokratycznej”. Jego działania budziły niezadowolenie w niektórych republikach, zwłaszcza w Chorwacji i Słowenii. Równocześnie zaczął się powolny rozkład państwa jugosłowiańskiego. W 1990 r. Milošević przekształcił serbską partię komunistyczną w Socjalistyczną Partię Serbii (SPS), której został przewodniczącym. W grudniu 1990 r. w wyborach powszechnych został wybrany na prezydenta Serbii i chociaż był tylko jednym z sześciu przywódców republik jugosłowiańskich, to odgrywał bardzo ważną rolę na scenie politycznej państwa. Wspierał dążenia Serbów zamieszkujących Chorwację i Bośnię, którzy chcieli przyłączenia się do Serbii. Przyczynił się w znacznym stopniu do wybuchu konfliktów w tych republikach. Popierał plany tzw. „Wielkiej Serbii”. Jednak na skutek międzynarodowych sankcji nałożonych na Jugosławię opowiedział się za pokojowym rozwiązaniem i m. in. jego zasługą jest porozumienie z Dayton w 1995 r., kończące krwawą wojnę w Bośni. Świat był mu wdzięczny za to, że zmusił Serbów bośniackich do akceptacji pokojowej propozycji. Uważano go za mocnego człowieka, gwaranta pokoju nie tylko w Jugosławii, ale i na Bałkanach.

Na przełomie 1996 i 1997 r. opozycja wyszła na ulice, jednak Milošević utrzymywał się ciągle przy władzy, a w 1997 r. został wybrany przez połączone izby parlamentu na prezydenta Jugosławii (składającej się wtedy już tylko z Serbii i Czarnogóry). W 1999 r. doszło do wojny w Kosowie i bombardowania Jugosławii. W marcu 1999 r. został oskarżony przez trybunał w Hadze o zbrodnie wojenne. Mimo to, pozostawał bezkarny. Ale w końcu powinęła mu się noga. Doszło do tego we wrześniu 2000 r., gdy w wyborach prezydenckich przegrał z opozycją, na czele której stał Vojislav Koštunica. Próbowano wybory sfałszować, na korzyść Słobo, ale po kilku dniach zamieszania, doszło do pokojowej „rewolucji” 6 października 2000 r. po której Milošević przyznał się do porażki i usunął się w cień. Pozostawał na wolności, lecz w końcu został aresztowany przez nowe władze Jugosławii 31 marca 2001 r. Początkowo władze zapowiadały, iż nie będzie wydany w ręce Trybunału Haskiego, czego domagała się opinia międzynarodowa. Jednak ostatecznie został przewieziony do Hagi w lutym 2002 r. Rozpoczął się proces, wielokrotnie przerywany na skutek złego stanu zdrowia Miloševića. Został oskarżony o zbrodnie wojenne w Kosowie i Chorwacji oraz ludobójstwo w Bośni. Twierdził: *Zostałem oskarżony, ponieważ bronilem swojego narodu przeciwko terroryzmowi i zbrodniczej agresji popieranej przez administrację Billa Clintona*. W marcu 2006 r. proces przerwała nagła śmierć Słobo.

Miloševića pochowano w jego rodzinnym mieście, podczas prywatnej ceremonii, w należącym do rodziny ogrodzie, pod lipą, pod którą po raz pierwszy pocałował swoją przyszłą żonę, Mirjanę Marković. Pogrzeb był okazją do manifestacji jego licznych zwolenników.

W czasie swoich rządów serbski przywódca doskonale opanował umiejętność usuwania bądź zjednywania sobie przeciwników politycznych, rozbijania demokratycznej opozycji, ścisłej kontroli wojska, policji i służby bezpieczeństwa oraz pozyskiwania popularności wśród Serbów. Podporządkował sobie państwowe media, głównie telewizję, która odgrywała ważną rolę w serbskiej maszynie propagandowej. Z pewnością jeszcze przez wiele lat jego osoba będzie wywoływać liczne dyskusje, zwłaszcza na obszarze byłej Jugosławii. Przyczynił się do rozpadu państwa i wybuchu kilku krwawych wojen, których ofiarami były setki tysięcy ludzi. Jednak trzeba pamiętać, że jego śmierć to nie koniec rozliczeń ze zbrodniarzami wojennymi z obszaru byłej Jugosławii. Ciągłe nie stanęli przed Haskim Trybunałem przywódcy Serbów bośniackich: Radovan Karadžić i gen. Ratko Mladić, chociaż od zakończenia wojny w Bośni mija już jedenaście lat...

Sławomir Szczesio
slawkuss@o2.pl

W poszukiwaniu polskich insygniów królewskich

W wielu krajach przez wieki używano do koronacji tych samych insygniów, w tym głównie korony, noszącej znamię świętości. Insygnia wiązano z legendarnym protoplastą dynastii lub twórcą niezależnego państwa. Jedynie ich użycie gwarantowało prawomocność intronizacji. Wiązało się to z troską o zabezpieczenie insygniów, ich ukrycie czy wywiezienie, tak, by nie dostały się w niepowołane ręce. Utrata insygniów oznaczała utratę godności, a ich nieposiadanie uniemożliwiało koronację.

Insygnia koronne niejednokrotnie znajdowały się w niebezpieczeństwie, spowodowanym sytuacją polityczną. Większość polskich insygniów królewskich, wykonanych z drogocennych kruszców i szlachetnych kamieni, przepadła w zawieruchach dziejowych. Trudno jednak odmówić Polakom troski o narodowe symbole suwerenności. Za Jana Kazimierza, Jerzy Lubomirski w obawie przed łupieżstwem Szwedów wywiózł korony na Spisz i przechował w warownej twierdzy Lubowli. W 1697 r. przy koronacji Augusta II wyniesiono insygnia królewskie poprzez wyłom w murze skarbcza, nie naruszając jego zamków i pieczęci. W trakcie wojny północnej w XVIII w. biskup kujawski Stanisław Szembek, późniejszy prymas, wywiózł insygnia i ukrył je w śląskiej Opawie¹. Wróciły one na Wawel dopiero w 1730 r. W 1733 r. podskarbi Franciszek M. Ossoliński zabrał regalia dla Stanisława Leszczyńskiego, by mógł się nimi koronować. August III musiał wobec tego wykonać sobie nowe przedmioty koronacyjne we Wrocławiu. Polskie regalia były w tym czasie przechowywane na Jasnej Górze do 1736 r.²

W końcu XVII w. elektor brandenburski żądał od Polski zwrotu kosztów wojennych, poniesionych przez jego ojca Fryderyka Wilhelma na wojnie z Karolem XI szwedzkim z korzyścią dla Rzeczypospolitej. Nie mogąc się doczekać wypłaty zajął Elbląg; w rezultacie układów odstąpił miasto, ale wziął w zastaw koronę królewską, co miało miejsce w 1699 r. Korona była zamknięta w paczce i opatrzona pieczęcią Królestwa Polskiego³. Najwięcej jednak kontrowersji co do losów polskich klejnotów wzbudza rok 1794, kiedy to Kraków zajęli Prusacy. Dziś podaje się, że w 1795 r. insygnia zostały zrabowane z Wawelu i na rozkaz króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III przewiezione do Królewca. Po wyjęciu z insygniów kamieni szlachetnych zostały one w 1809 r. przetopione na złoto i srebro, co Lord Twining określił jako akt wandalizmu⁴. Pozostałe przedmioty, o mniejszej wartości, ocalał Tadeusz Czacki, który w 1796 r. zabrał je z Wawelu, a potem przekazał księżnej Izabeli Czartoryskiej do jej puławskiej kolekcji.

Starsza historiografia nie stawiała tej sprawy tak jasno. Były oczywiście głosy wskazujące, że większa część klejnotów skarbcza krakowskiego od 1795 r. kryje się w skarbcu państwa pruskiego lub też stroi monarsze przybory jego władców. Miano podobno w 1794 r. zrobić dziurę w opieczętowanym przez Prusaków Skarbcu i zabrać tylko koronę piastowską, a następnie ukryć ją. Legendy wskazywały na rozmaite dzielnice dawnej Rzeczypospolitej lub rodziny posiadające klejnoty, oczywiście zachowując ich nazwiska w tajemnicy⁵. Sądzone właśnie, że insygnia mogły być uratowane przez Polaków; takie próby miały przecież miejsce wcześniej. Twierdzono więc, że w 1794 r. przed najściem Prusaków klejnoty polskie uniósł i ukrył ks. Sebastian Sierakowski⁶. Tradycja ustna mówiła, że ks. Sierakowski, kustosz Skarbcza i malarz Stachowicz przy pomocy murarza zrobili otwór w murze i wydobyli koronę ze

¹ W. Eljasz-Radzikowski podaje, że zdarzenie to miało miejsce w 1702 r., a wraz z Szembekiem współdziałał biskup przemyski – W. Eljasz-Radzikowski, *Szczerbiec miecz Bolesławowski*, Kraków 1898, s. 33.

² A. Wolański, *Losy regaliów polskich*, Kraków 1921, s. 5. W. Eljasz-Radzikowski podaje, że Ossoliński ukrył insygnia w Warszawie w grobie kościoła oo. Misjonarzy, gdzie były zamurowane i przeleżały półtrzecia wieku, a przewieziono je na Wawel w 1737 r.

³ F. Kopera, *Dzieje Skarbcza Koronnego czyli insygniów i klejnotów koronnych Polski*, Kraków 1904, s. 211.

⁴ W. Maisel, *Archeologia prawna Europy*, Warszawa-Poznań, 1989, s. 23.

⁵ Alkar, *Klejnoty koronne polskie*, „Przewodnik Naukowy i Literacki”, t. 24, 1896, z.1, s. 4.

⁶ W. Eljasz Radzikowski, *dz. cyt.*, s. 33.

Skarbca. Jest to niewykluczone, ponieważ w 1697 r. przy przygotowaniach do koronacji Augusta II zdarzyła się podobna sytuacja. Inna wersja podaje, że insygnia wywieziono do Włodzimierza, do klasztoru Kapucynów, gdzie pozostały w ukryciu do 1842 r.⁷ To by wyjaśniało w pewnym wąskim sensie, dlaczego Prusacy przeprowadzili tak dokładną rewizję klasztorów, kościołów i grobów królewskich.

W protokołach magistratu krakowskiego komendant austriacki, który 5 stycznia 1796 r. zajął Kraków po opuszczeniu go przez Prusaków, stwierdził, że pierwsze drzwi Skarbca Koronnego były nietknięte, drugie otwarte, a w skrzyni nie było koron. Wysłano więc przypuszczenie, że może Prusacy zabrali korony królowych, a koronacyjne faktycznie ukryto. Co więcej, w 1815 r. Rosja, jak powszechnie uważano, miała zażądać w Berlinie zwrotu polskich insygniów. Pisze w swoim pamiętniku Jan Ursyn Niemcewicz, że ks. Sussex w 1831 r. twierdził, że widział regalia polskie w Berlinie, a nawet je przymierzał. Rozpowiadano, że jedna z koron zamurowana była w ścianach łuzycyjskiej katedry. Wydobyta następnie przez dwie rodziny została sprzedana, co dało im duże korzyści finansowe⁸. Pocieszano się w ten sposób, że skarby narodowe są w polskich rękach, a nie w depozycie u obcych. Ks. Sussex mógł jednak mówić o koronie węgierskiej zastawionej Prusakom w 1698 r., a która z wielkim prawdopodobieństwem została stopiona, ponieważ po bitwie pod Jeną skarb pruski był wyczerpany. Podobno cesarz Fryderyk zwiedzając incognito Kraków zapytał o insygnia koronne. Gdy mu powiedziano, że są one w rękach pruskich, zaprzeczył⁹.

Godną uwagi jest jeszcze notatka Niemcewicza *Wiadomość o koronach polskich*, spisana, jak świadczy data zaznaczona ołówkiem, w roku 1835 i opatrzona własnoręcznym podpisem Niemcewicza. Notatka ta znajduje się w materiałach po nim, przechowywanych w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Niemcewicz włączył w nią relację ostatniego kustosa Skarbca Koronnego, kanonika Sierakowskiego z 1816 r. Oto i ona: *Spodziewałem się ja, że w czasie walącego się istnienia naszego nieprzyjaciele nasi, zabierając kraj, nie zapomną opanować i tych drogich znamion królestwa polskiego. Pilne miałem oko i ucho na wszystko, do mnie to bowiem należało, jako do kustosa skarbu. Jednej nocy, gdy już Prusacy byli w Krakowie, słyszę łoskot wozu jadącego pod katedrę. Mając klucze, byłem spokojny. Lecz do dnia nazajutrz idę do kościoła, do skarbcza: znajduję zamek od skrzyni nienaruszony, lecz przypatrując się pilniej spostrzegam, że zawiasy z tyłu były naruszone. Otwieram, żadnego z insygniów królewskich: ni korony, ni berła, ni jabłek nie znajduję. Zmartwiony do ostatka nie przestaję czynić po cichu badań, wywiadywać się, co się z insygniami tymi stało. Dowiaduję się na koniec, że Prusacy z pogranicznego Śląska sprowadzili ślusarza. Ten zawiasy skrzyni podniósł i tym sposobem ułatwił kradzież bez naruszenia zamku¹⁰. Wobec tej relacji twierdzenie, że Sierakowski (lub ktoś inny) ukrył insygnia, jest błędne. Niemcewicz dodaje, że wysłano upomnienie do dworu berlińskiego o własność królów polskich. Otrzymało odpowiedź, że dwór berliński nie wie, co się stało z tymi insygniami.*

Legendy opowiadają o koronie zagrzebanej w lesie niedostępnym, która ukaże się, gdy pojawi się bohater legendarny, dzielny i żwawy ma koniu w lśniącej zbroi z bitnym orszakiem i zostanie zwycięzcą. Mit otaczający insygnia królewskie spowodował, że były one nadal przedmiotem tak mistycznym i tajemniczym, jak w średniowieczu. Co więcej, stanowiły inspirację działań Polaków w walce z zaborcą. Skoro bowiem insygnia ocalały, to państwo nadal jest suwerenne i o tę suwerenność należy walczyć.

Justyna Antczak
vinsanity15@interia.pl

⁷ F. Kopera, *dz. cyt.*, s. 236-238.

⁸ A. Wolański, *dz. cyt.*, s. 11-15.

⁹ F. Kopera, *dz. cyt.*, s. 235-236.

¹⁰ J. Dihm, *Nieznana relacja o zrabowaniu polskich insygniów koronnych w r. 1794*, [w:] *Studia do dziejów Wawelu*, t. 1, Kraków 1955, s. 370.

Dobra klasyka nie jest zła „Zwłaszcza jej.”

Billy Wilder, jeden z najwybitniejszych amerykańskich reżyserów, jest uważany za postać, której styl i osobowość były na tyle silne, iż dzisiejsze kino nieraz nieświadomie powiela jego sposób opowiadania. Jest to zwłaszcza widoczne na przykładzie gatunku określanego jako „komedia romantyczna”. Celowo wziąłem tę nazwę w cudzysłów, gdyż dziś ma wymiar prezentowania kolejnych kiczowatych historyjek, będących w dodatku tym samym filmem, na który mają pójść miliony, pełnym przejawiskami zarówno fabularnych, jak i kolorystycznych. Trzeba jednak zauważyć, iż nie zawsze tak było.

Siłą wzmiankowanego przeze mnie reżysera była niepowtarzalna świeżość, wniesiona do hollywoodzkich standardów przez niego samego oraz aktorów, którzy często powracali do współpracy z nim. Zwłaszcza trzeba w tym miejscu wymienić jego dwóch ulubieńców, Jacka Lemmona i Waltera Matthaua, którzy opuszczając w niedługim odstępie czasu ten Świat nieświadomie utrwaliли legendę o sobie jako nierozzerwalnej ekranowej parze.

Poniekąd na przekór temu chciałbym jednak opowiedzieć o dziele, w którym widz może obcować jedynie z pierwszym z tej wspaniałej dwójki, a także i świetną, chyba w każdej roli, Shirley MacLaine^α. Jest nim *Garsoniera* z 1960 roku.

C. C. Baxter jest przeciętnym, szeregowym pracownikiem wielkiej firmy nowojorskiej, jednym z setek trybików; niczym niewyróżniającą się mrówką. Jest to jednak tylko pierwsze wrażenie, gdyż w zaskakująco szybkim czasie awansuje on, przechodząc z jednego piętra na drugie, zarówno w sensie metaforycznym, jak i dosłownym. Dzieje się tak za sprawą jego *życzliwości*. Otóż wynajmuje przedstawicielom kadry kierowniczej swoją kawalerkę na schadzki z kochankami. Jednak nie ma on w sobie nic z cynika, po prostu nie umie odmawiać, a fakt, iż umięją się jego *klienci* odwdziżyć, czyni go jeszcze bardziej bezwolnym.

Jednym z kierowników jest pan Sheldrake. Wysoko postawiony, jest w stanie zapewnić Baxterowi stanowisko kierownicze. Wszystko jest (prawie) pięknie, gdyż często nie sypia w domu, zostaje po godzinach itp. aż do chwili, gdy kochanka wspomnianego kierownika, potraktowana jak zwyczajna prostytutka, postanawia się zabić. Baxter ratuje jej życie i spędza z nią trochę czasu. Nie trzeba chyba dodawać, iż od jakiegoś czasu stanowi ona obiekt jego westchnień, lecz jak dotąd nie zorientowała się.

Fabula zdaje się być prosta, powielająca setki innych, jednak to, co czyni ją wyjątkową, to sposób potraktowania rzeczy poważnych – z niezwykłą lekkością. Nie ma tu patosu, zbędnych ekshibicjonistycznych reakcji. W dodatku dość otwarcie jak na Amerykę tamtego okresu mówi się o zdradzie małżeńskiej, o sprawach seksu. Reżyser bardzo uczciwie podchodzi do oceny postaci kobiecych, które są winne swojej naiwności, jednak ich występkiem, jeśli można to tak określić, jest jedynie pragnienie szczęścia, podczas gdy to mężczyźni są faktycznie nędnymi pasożytami, wykorzystującymi obie strony. Nawet bardzo przecież pozytywny C. C. Baxter jest mężczyzną, któremu brak moralnego kręgosłupa, zmienia się dopiero pod wpływem kobiety. Jest w tym obrazie taka scena, kiedy Baxter dostaje awans, ale Sheldrake prosi go o klucz do tytułowej garsoniery. W tym momencie z niesłychaną stanowczością, ale i opanowaniem, niedawny trybik mówi mu, że nikogo już nie zabierze do swojego mieszkania.

- *Ale, Baxter, to nie jest nikt, tylko panna Kubelick.*
- *Zwłaszcza jej.*

^α Prawdziwe nazwisko aktorki brzmi Beatty. Jest ona siostrą Warrena Beatty'ego, grającego główne role w takich filmach jak *Bugsy*, *Dick Tracy*, *Szampon* czy najsłynniejszy – *Bonnie i Clyde*.

Wreszcie nasz bohater decyduje się postawić. Nie wszystko jest na sprzedaż, a w szczególności uczucia. Ta scena bardzo dobrze uświadamia nam też to, czego możemy się spodziewać – *kiedy mężczyzna kocha kobietę* – bo przecież gdyby nie ona, nigdy by tego nie zrobił.

Garsoniera jest piękną historią miłosną, choć bez wielkich namiętnych odruchów między dwojgiem głównych bohaterów. Jest bardzo stonowana, spokojna, inteligentna, a przy tym prawdziwie zabawna. To pean na cześć kobiet, ich wytrwałości i, w jakimś sensie, heroizmu, ale też o poświęceniu tak zwanej brzydkiej płci.

Billy Wilder zdaje się wydawać tym filmem wojnę fałszywej moralności, obłudzie. Nie da się bez przerwy oszukiwać ludzi. Mówi, że nie da się bez końca wykorzystywać tych stojących niżej pod względem zamożności, gdyż dla nich pieniądz nie jest jedyną wartością, wyznacznikiem tego co dobre, a co nie.

Czy jest jakaś kara dla tej *kadry kierowniczej*?

Pustka. Wieczna pogoń za zyskiem i chwilowym zadowoleniem. Tyle. Reszta Wildera nie interesuje, bo oni są nudni. Tacy sami, jak kserokopie. Zero wyrazistości, wartości, celu w życiu. Czy, zatem, mamy im czego zazdrościć? Raczej tym dwojgu, którym dane było się spotkać i najzwyczajniej w świecie poznać.

Trochę tu patetyzuję, trzeba jednak przyznać temu filmowi głębię, której większości *komedii romantycznych* brakuje lub jest ona włączana na siłę, w efekcie czego otrzymujemy kiepską podróbkę dawnej klasy. Może to też kwestia aktorów, gdyż faktycznie ciężko jest dorównać Lemmonowi i MacLaine^b. Chyba w tym miejscu skończę, gdyż to trochę jak porównywanie czekolady z wyrobem do niej *podobnym* (wiem, o czym piszę, próbowałem to zjeść i się nie udało).

Posługując się popularną ostatnio reklamą wypada mi powiedzieć jedno: kiedyś byli Wilder, Lemmon i MacLaine, podczas gdy teraz wszystko jest *prawie*. Prawie jak Wilder. Prawie jak Lemmon. Prawie jak MacLaine.

Prawie jak film.



Przemysław Damski
damen32@wp.pl

Alterglobalizm – sens, który wydobyl się z zadym (2)

Działalność

Działalność alterglobalistów odbywa się generalnie na trzech płaszczyznach, można wręcz powiedzieć, że jest to ruch, który nabrał trojakiego znaczenia. Po pierwsze, jest to ruch intelektualistów. Do najbardziej znanych krytyków zglobalizowanej cywilizacji zaliczyć możemy Noama Chomsky'ego, Zygmunta Baumaną, Noami Klein, Manuela Vázquez Montalbána, Octávia Ianniego i wielu innych. Wiele prac ukazało się na ten temat po polsku wymieńmy choćby: Noama Chomsky'ego *Zysk ponad ludzi*, *Neoliberalizm a ład globalny*, Zygmunta Baumaną *Globalizacja. I co z tego dla ludzi wynika*, a także Hansa Petera Martina i

^a Nawet nie wspomnę o rolach Katharine Hupburn i Spencera Tracy'ego, w których czuło się owo szczególne *iskwienie* między bohaterami. Natomiast do grona *kiepskich naśladowców* nie zaliczałbym Meg Ryan, mającą na koncie kilka naprawdę dobrych filmów.

Haralda Schumanna *Pułapka globalizacji. Atak na demokrację i dobrobyt*, Davida C. Kortena *Świat po kapitalizmie. Alternatywy dla globalizacji*.*

Debaty odbywają się także na wszelakich forach i panelach dyskusyjnych. Spotkania alterglobalistów przybrały nazwę Forum Społecznego i odbywają się na gruncie światowym (Porto Alegre, Bombaj), bądź kontynentalnym, gdzie istotną rolę odgrywają fora europejskie (Florencja w 2002 r., Paryż w 2003 r.). Spotkania takie charakteryzuje ogromna rozpiętość tematyczna dyskusji. Na spotkaniu w Paryżu dyskutowano w pięciu panelach: 1) Przeciwno wojnie – o Europę pokoju, sprawiedliwości i solidarności; (2) Przeciwno neoliberalizmowi – o demokratyczną i socjalną Europę; (3) Przeciwno logice zysku – o ekologiczne i zrównoważone społeczeństwo i sprawiedliwość społeczną; (4) Przeciwno procesowi utowarowienia – o Europę demokratycznej informacji, kultury i edukacji; (5) Przeciwno rasizmowi, ksenofobii i wykluczeniu – o Europę równych praw i dialogu między kulturami. Odbyło się łącznie 55 sesji plenarnych i około 250 seminariów, a także liczne warsztaty, targi literatury niezależnej i imprezy kulturalne. Uczestniczyło ponad 30 tys. osób**. Na podstawie dyskusji, jakie się tam odbywają można generalnie uznać, że ruch alterglobalistyczny ma co najmniej kilka bardzo istotnych postulatów***.

Po pierwsze w ramach *innej globalizacji* ma nastąpić radykalna zmiana polityki globalnej, dążąca do wzmocnienia instytucji Organizacji Narodów Zjednoczonych. Alterglobaliści podkreślają, że ONZ posiada dziś struktury, których zadaniem ma być walka z biedą, ubóstwem, łamaniem praw człowieka, są one jednak wysoce niedofinansowane. Okazuje się bowiem, że wiele wysoko rozwiniętych państw zalega w dużym stopniu ze składkami członkowskimi (blisko 60% długów to niezapłacone składki USA). Potrzebne są też specjalne podatki od obrotów kapitałowych oraz opłaty, narzucane na multikorporacje. Pieniądze uzyskane tą drogą mają posłużyć na wzmocnienie pewnych gałęzi ONZ oraz stworzenie nowych, kontrolujących monopolistyczną działalność korporacji międzynarodowych. Drugim takim istotnym postulatem jest tzw. rewolucja edukacyjna. Okazuje się bowiem, że na świecie jest aż 26 krajów, w których analfabetyzm przekracza 60%. Na czele tej listy znajdują się kraje afrykańskie – czytać potrafi zaledwie 13,1% mieszkańców Nigru, 18,7% Burkiny Faso, 24,9% Somalii czy 25% Erytrei. Do szkoły uczęszcza tylko 26% dzieci w wieku edukacyjnym w Bhutanie, 29% w Nigrze, 31% w Etiopii, 34% w Mali. Lista krajów, w których co najmniej co czwarte dziecko nie uczy się obejmuje 28 pozycji! Według danych Oxfam, 125 milionów dzieci na świecie nigdy nie uczęszczało do szkoły, a 150 milionów opuściło szkołę, nim nauczyło się czytać i pisać. Wymaga to wzmożonej działalności ONZ i opracowania planu edukacji wielu milionów ludzi na całym świecie. Według alterglobalistów początkiem powinno być jednak oddłużenie dużej części państw, zwłaszcza afrykańskich. Trzecim wreszcie postulatem jest demokratyzacja. Twierdzą bowiem sympatycy ruchu, że wzrost znaczenia korporacji i instytucji finansowych istotnie wpłynął na oddemokratyzowanie większości społeczeństw. Lobbować mają one na rzecz korzystnych dla siebie rozwiązań, często kosztem ludzi, a wręcz bez ich zgody. Alterglobaliści zwracają uwagę, jak wielkie znaczenie we współczesnej polityce i informacji mają pieniądze i dostęp do nich. Wypacza to ich zdaniem reguły demokratyczne. I wreszcie czwarty postulat to umiędzynarodowienie i ujednoczenie prawa pracy. Różnice w tej dziedzinie ustawodawstwa powodują bowiem, że wielkie firmy przenoszą się do państw, gdzie prawo jest mniej restrykcyjne, co niesie za sobą ogólne obniżenie standardów prawa pracy na całym świecie.

Oczywiście powstaje pytanie czy coś z tych dyskusji wynika. Otóż należy powiedzieć, że pod tym właśnie względem ruch alterglobalistyczny bardzo się zmienił. O ile w pierwszych latach było to typowe stronnictwo protestu, nastawione na czystą destrukcję, o

* *Alterglobalizm, antyglobalizm – co to takiego?*, [w:] <http://ibw.com.pl/modules/xfsection/article.php?articleid=126>.

** Tamże.

*** www.mlodziocjalisci.pl/globalizacja

tyłe przyparte do muru przez przeciwników, oskarżających o utopizm, zaczęło zastanawiać się nad realizacją swoich postulatów. Powstało więc co najmniej kilka ważnych inicjatyw, które dziś jasno wyróżniają ruch alterglobalistyczny. Najbardziej znane są dwie inicjatywy. Pierwszą z nich jest organizacja ATTAC zrzeszająca ekonomistów oraz działaczy społecznych, postulujących wprowadzenie podatku obrotowego od przepływu kapitałów tzw. *podatku Tobina*. Ekonomisci zrzeszeni wokół ATTAC-u prowadzi dokładne wyliczenia oraz tworzą projekty ustaw i programów, które mogłyby urzeczywistnić idee podatku Tobina. Dochód zdobyty dzięki temu minimalnemu podatkowi (sięgającemu maksymalnie 0,5% od obrotu) sięgałby 150 miliardów dolarów rocznie i znacznie ograniczyłby spekulacje na rynkach walutowych, a także osłabił korporacje międzynarodowe.

Inną taką organizacją są tzw. Indymedia, które możemy nazwać społecznymi mediami, alternatywnymi źródłami informacji, chwalcymi się swoją niezależnością, zwłaszcza finansową. Ruchom alterglobalistycznym udaje się też na świecie istotnie poszerzyć znaczenie słowa demokracja. W wielu gminach odradza się oddolna demokracja, gdzie mieszkańcy sami biorą sprawy w swoje ręce. Najbardziej znanym przykładem jest Porto Alegre (1,3 mln mieszkańców) w Brazylii, gdzie w decyzjach bezpośrednio uczestniczy grono 50 tysięcy osób. Za przykładem Porto Alegre poszły inne miejscowości: Belo Horizonte, Recife, São Paulo, Toronto, Guelph. Również w Europie można zaobserwować liczne przykłady odradzania się demokracji uczestniczącej np. w kilku podparyskich gminach: Babigny, Saint-Denis, Ivry-sur-Seine. W Ivry (gminie liczącej 51 tysięcy mieszkańców) szesnaście tysięcy osób uczestniczy w pracach ponad 270 lokalnych rad, podejmujących ważne decyzje i konsultacje, dotyczące życia całej miejscowości, w tym budżetu miejskiego i planowania przestrzennego. Można też wymienić angielski Manchester czy hiszpańską miejscowość San Feliu de Llobregat.

Oczywiście ruch alterglobalistyczny nie wyzbył się też trzeciej drogi działalności – protestu. Organizacja spektakularnych protestów podczas międzynarodowych konferencji WTO, Banku Światowego, Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Światowego Forum Ekonomicznego, Europejskiego Forum Ekonomicznego, spotkań G7 czy G8 to jeden z najważniejszych elementów działalności. Do tego dołączają mniej znane, takie jak protesty przez restauracjami McDonalda (co przechodzi już niemal w symbol alterglobalistów). Trzeba jednak pamiętać, że mimo wszystko jest to czubek góry lodowej. Mimo iż najbardziej widoczne, są często miłym dodatkiem do codziennej działalności kielkującego ruchu.

(CDN)

Sebastian Adamkiewicz
sebamatis@poczta.onet.pl

Zespół redakcyjny: Lidia Jurek, Bruno Kamiński, Andrzej Kompa, Wojciech Marciniak, Sylwia Wielichowska.

Współpraca: Sebastian Adamkiewicz, Justyna Antczak, Przemysław Damski, Krzysztof Latocha, Kajetan Rudnicki, Sławomir Szczesio.

Rycerzyka projektował Przemysław Damski.

**Drukowano w Pracowni Kserograficznej Instytutu Historii
Uniwersytetu Łódzkiego oraz w Pracowni Intrologatorskiej
i Kserograficznej pp. Ewy i Amilkara Kosińskich.**

Nakład 250 egz.

Bliskie spotkanie z księdzem generałem

Tekst ten zajmuje się tłem i przebiegiem spotkania z księdzem Adamem Bonieckim. Opis treści dyskusji zostawiam zdolniejszym piórom...

Garść szczegółów technicznych – spotkanie trwało od godziny 11.00 do 14.00, z przerwą na wyjście dla niemogących zostać dłużej po godzinie 13.00.

Na jednym z pierwszych spotkań Koła Naukowego w bieżącym roku padło stwierdzenie, że istnieje możliwość zaproszenia do nas księdza Bonieckiego. – *Kto to?* – spytałem z głupia frant i natychmiast zrobiłem się malutki pod ciężarem spoczywających na mnie, pełnych wyrzutu spojrzeń, a Nadgorliwiec wyjaśnił mi mentorskim tonem, że jest to *Redaktor „Tygodnika Powszechnego”, Jednostka Wybitna, Chodząca Legenda*, i że *swoją indolencją przynoszę hańbę Kołu*. Wniosek, żeby zaprosić, przeszedł przez aklamację.

Negocjacje co do terminu spotkania trwały czas pewien, ale o dziwo udało się go ustalić bez specjalnych trudności. Na początku semestru letniego wszystko było już ustalone. Spotkania koła zamieniły się w odprawy, poświęcone godnemu przyjęciu gościa. Były tam podnoszone kwestie formy spotkania (zadawane pytania z sali, bo wtedy prawie nic nie musimy robić), plakatów (– *Może damy płonący krzyż?*, – *Nie, to za drogie, wydrukujemy dużymi literami nazwisko i będzie okej*), logistyki (trafi, nie trafi?), tudzież finansowe (wynająć chór, orkiestrę, czy kupić słone paluszki?).

W końcu wielki dzień nadszedł. Spotkanie było wyznaczone na 11.00. Koło stawiało się zwarte i gotowe na godzinę 10.00. Prawie połowa członkiń zafundowała sobie nowe fryzury; członkowie zaś wyfraczyszwy się poznosili krzesła i przygotowali salę. Już o godzinie 10.30 gruchnęła wieść, szerząca się lotem błyskawicy: *Już jest!!* Ksiądz został podjęty przez łącznika z ramienia Koła i prominentnych jego członków. Niejakie zainteresowanie spotkaniem okazała kadra naukowa. O 10.55 zabrakło krzeseł na sali. O 11.00 spotkanie rozpoczęło się...

Nasz gość wszedł, budząc powszechny aplauz. Po czym usiadł, a spotkanie zaczął prowadzić nasz łącznik z ramienia. Aby wzmocnić swój autorytet, zafundował sobie ochroniarza; nic to nie dało, wyglądali razem jak Flip i Flap za młodu. Dodatkowo spotkanie rozpoczęło się serią gaf – najpierw zostaliśmy poproszeni o zabranie ciszy (została natychmiast zabrana), a potem przedstawiając księdza przypisano mu rolę *generała mariawitów*, co spotkało się ze stanowczym sprzeciwem tegoż. W imieniu kadry gościa powitał Dr Kokoszko. Stwierdził, że *wszyscy jesteście w najwyższym stopniu podnieceni, będziemy spijać słowa z ust księdza*, a jego wizyta będzie *niezwykle stymulująca*. W końcu padło pierwsze pytanie... ksiądz odpowiadając, z nienaganną dykcją w dziesięć minut wyczerpał temat. Posypały się następne pytania; żadne nie pozostało bez odpowiedzi. Nawet gdy do naszego gościa doszła Krótka Wiadomość Tekstowa, ten nie spiesząc się, odczytał ją i odpisał nie tracąc wątku i nie przerywając narracji.

Na salę napływali nowi goście. W pewnym momencie wszedł nawet F – persona charakterystyczna, znana ze swoich antysemitycznych poglądów. Wzbudziło to popłoch u kadry, części członków Koła, jak również zaciekawione spojrzenia postronnych. Troll z koła sugerował nawet prewencyjną likwidację; na szczęście F popatrzywszy chwilę spode łba, zmył się, nie powodując większego skandalu. Skandal za to prawie wywołał starszy wiekiem i niestety z pierwszymi objawami demencji absolwent UŁ, podobno prawnik, który dorwawszy się do głosu przeprowadził agitkę na rzecz patriotyzmu, nie dał się uciszyć oklaskami, zabrał piętnaście minut spotkania, nazwał gościa *ojcem dyrektorem* i skończył, pytania nie zadawszy. Ksiądz westchnął, spojrzął na członków Koła, spytał, czy go znamy, a następnie spacyfikował sytuację, wykazując zrozumienie i przy okazji wyraził ubolewanie, że mimo licznych

podejrzeń, ni Żydzi, ni masoni na „Tygodnik Powszechny” funduszy nie dają.

Podobne wystąpienie, tyle że o bardziej przyjaznym wydźwięku, miał na początku Utytułowany Gość z Filozofii, który wystawił naszemu Gościowi i jego pismu laurkę, zachwycił się, zaszczycił i przy okazji dodał, że sam został tam wydrukowany dwa razy. Pytania stawały się coraz dziwniejsze, między innymi padło: *jakby ksiądz czuł się jako kobieta?* Ostatnie pytanie zadawane było dwa razy, od dwóch różnych osób i oczywiście za każdym razem miało inne brzmienie. Ksiądz zaspokoił naszą ciekawość i rozstał się z nami żegnany burzą oklasków. Oficjalny łącznik koła i prowadzący spotkanie w jednej osobie próbował jeszcze coś mówić, ale nikt go nie słuchał. Koło podziękowało oficjalnie księdzu, zostały mu wręczone kwiaty (piękno kwiatów dorównywało urodzie wręczających je członkiń), po czym Zarząd wraz z łącznikiem i jego ochroniarzem przeszli do części tajnej spotkania. Przeprowadzona krótko po spotkaniu sonda wśród jego uczestników wykazała duży współczynnik zadowolenia tychże; a więc spotkanie można uznać za zakończone sukcesem.

Cyklista
jataman@gmail.com

Wielkanocne morderstwo

Święta Wielkiejnocy kojarzą się przede wszystkim z okresem spokoju, zadumy i wewnętrznego skupienia. Ludzie zwykli wówczas zastanawiać się nad swoim życiem i sprawdzać, czy jest ono zgodne z naukami Chrystusa, którego rocznicę śmierci właśnie wtedy obchodzimy. Nasi przodkowie nie zawsze jednak potrafili uszanować ten charakter świąt. Zdarzało się, że okres ten wykorzystywano w celu załatwienia drażliwych sporów politycznych, a nawet pozbycia się niewygodnego przeciwnika.

Ofiarą takich właśnie zabiegów padł Zygmunt Kiejstutowicz. Był on wielkim księciem litewskim, który przejął władzę na Litwie niedługo po śmierci Witolda i obaleniu Świdrygiełły. Rządy w Wielkim Księstwie uzyskał przy pomocy panów polskich. Jego panowanie nie cieszyło się jednak popularnością wśród poddanych. Zygmunt miał opinię okrutnego władcy. Podobno zgładził wielu niewinnych bojarów litewskich i zagarnął ich majątki. Według Długosza Kiejstutowicz *czartom czynił ofiary z krwi ludzkiej; we wszystkich sprawach szedł jedynie za radą wróżków, psy nad ludzi wyżej cenił (...) ustawicznie popełniał gwałty, cudzołóstwa, wszeteczeństwa, wydzierstwa i zabójstwa; Królestwu Polskiemu nigdy nie był wierny i przychylny i wielu dopuszczał się czynów obrzydłych, do wiary prawie nie podobnych.*

Wśród panów litewskich rozniosła się pogłoska, iż Zygmunt planuje zwołać wielki zjazd ziemski, na którym zamierza zniszczyć całą szlachtę. Tego było już za wiele i Litwini postanowili zorganizować spisek. Na jego czele stanął książę Iwan Czartoryski oraz wojewoda wileński Dowgird i wojewoda trocki Lelusz. Panowie ci przekupili rządzącego dworu, niejakiego Skobejkę. Dali mu trzysta wozów siana i w każdym z nich ukryli po pięciu ludzi. Ponadto każdy wóz miał prowadzić jeden człowiek. Ów Skobejko miał udać się do Trok pod pozorem dostarczenia należnego od chłopów siana.

Specjalnie przygotowane wozy wjechały na zamek trocki w niedzielę palmową 20 marca 1440 r. W całej tej akcji najważniejszy był element zaskoczenia, któremu sprzyjał zwłaszcza okres świąt Wielkiejnocy. Zamek był wówczas otwarty, a niespodziewający się niczego książę Zygmunt słuchał sam mszy w swojej zamkowej sypialni. Opuściwszy wozy, grupa buntowników, którym przewodził Czartoryski, udała się do książęcej sypialni. Zygmunt miał u siebie oswojonego niedźwiedzia, który za każdym razem, gdy chciał wejść do sypialni

skrobał w drzwi i był wówczas wpuszczany. Spiskowcy dobrze o tym wiedzieli. Czartoryski zaskrobał więc ręką po drzwiach, a książę Zygmunt mniemając, że to niedźwiedź, kazał otworzyć drzwi i wtedy do komnaty wdarli się buntownicy. Książę wykrzyczał Zygmuntowi wszystkie zarzuty i oskarżenia. Następnie rzucił się na niego, by go zabić, lecz nie było pod ręką żadnej broni. Wówczas Skobejko chwycił za pogrzebacz widelkowaty, którym rozgarniano w piecu ogień, i uderzył Zygmunta w głowę, aż krew trysnęła na ścianę. W obronie swojego pana stanął sługa Sławko. Został jednak powstrzymany przez spiskowców, a następnie wyrzucony z wieży na skręcenie karku przez okno. Wszystko to działo się błyskawicznie i w momencie, gdy odprawiający mszę ksiądz podnosił do góry hostię.

W taki oto sposób dokonał swego żywota okrutny Zygmunt Kiejstutowicz. Barwny opis jego śmierci zachował się w kronikach ruskich. Zdarzenie to pokazuje, że okres świąteczny wykorzystywany był w historii nie tylko do celów chrześcijańskich. Czasem podczas świąt działy się rzeczy naprawdę okrutne.

Krzysztof Latocha
Krzylatocha7@wp.pl



W związku brzemienym w skutki udziałem członków SKNH
w

XIV. Ogólnopolskim Zjeździe Historyków Studentów (Wrocław, 29 marca – 2 kwietnia 2006)

kolejny, kwietniowy numer KIH-y będzie numerem specjalnym,
poświęconym temu właśnie wydarzeniu.

Zapraszamy do lektury
Redakcja

Z przyjemnością zapraszamy do ogólnodostępnej, profesjonalnej i nowoczesnej Pracowni Kserograficznej i Introligatorskiej. Znajduje się w naszym Instytucie, przy szatni.

W szerokim wachlarzu usług znajdują się m. in.:

- *Kserokopie A4 od 6 do 10 groszy*
- *oprawy prac wszelakich*
- *eleganckie passe-partout*
- *wydruki i skanowanie*
- *reperacje i oprawy druków, starych książek, czasopism*

Pracownia oprawia profesjonalnie każdy rodzaj prac bez względu na format i objętość. Oprawy wykonywane są na